

Krzysztof Dorosz: Gliniane naczynia

Wiara łączy duszę z niewidzialnym, niewysłowionym, niewypowiadalnym, wiecznym i nie dającym się pomyśleć Słowem Bożym, oddzielając ją jednocześnie od wszystkich rzeczy widzialnych. Protestantki nacisk na Łaskę i Tajemnicę stwarzał wiarę intymną, nieraz głęboko ukrytą w glinianych naczyniach – pisze Krzysztof Dorosz w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Re-formacja: przekształcanie porządku”.

*Przechowujemy zaś ten skarb w glinianych naczyniach,
aby z Boga była owa przeogromna moc, a nie z nas.*

(2 Kor 4,7)

Chrystus jest Panem – tak brzmi najstarsze wyznanie chrześcijańskiej wiary. Przez trzy stulecia świat w postaci Imperium Rzymskiego prześladował chrześcijan, którzy odmawiali uznania wszelkiej władzy z wyjątkiem władzy Chrystusa. W Rzymie niekiedy uważano chrześcijan za ateistów, ponieważ nie wierzyli w oficjalnie sankcjonowane bóstwa i nie chcieli oddawać im czci. Dlatego umierali na arenach Imperium. Później jednak nadeszły czasy, kiedy samo chrześcijaństwo stało się oficjalną religią, bogatą w atrybuty ziemskiej władzy, a hierarchom Kościoła przypadły w udziale godności możnowładców tego świata.

Związki władzy duchowej ze świecką są dla człowieka groźne. Utożsamienie obu władz niesie niebezpieczeństwo zniewolenia. Tym dotkliwsze, że w grę wchodzi najwyższe dobro duchowe człowieka, czyli zbawienie. Pomieszanie porządku duchowego i świeckiego łatwo powoduje idolatrię, czyli religijną adorację rzeczywistości widzialnej i dotykanej. Jak zatem odróżnić obecność Boga w świecie, która jest Łaską Niebios, od bałwochwalstwa, które jest buntem ziemi? Jak zapobiec ubóstwieniu człowieka kosztem Boga? Jak ocalić Jego suwerenność?

Z tymi pytaniami zmagał się protestantyzm, który zrodził się z protestu przeciwko absolutyzacji władzy duchowej, skłonnej do nadawania boskich atrybutów czysto ludzkiej i ziemskiej rzeczywistości. Punktem zapalnym stał się osławiony handel odpustami, jaskrawy symbol oddania Łaski w pacht ludzkich uczynków, powodowanych w dodatku chęcią zysku. Niepomny drogowskazów prawdziwego duchowego życia człowiek nie mógł się oprzeć pragnieniu podporządkowania sobie tego, co należy do Boga. Późnośredniowieczne chrześcijaństwo zachwiało się pod naporem ludzkiej słabości.

Dlatego protestantyzm, przynajmniej na początku, postawił na prymat i suwerenność Boga, na wiarę skierowaną nie ku chrześcijaństwu, lecz ku Bogu i Jego Tajemnicy. Niepodobna jej było odmierzać teologiczną i kościelną miarą. Teologia łudzi się – twierdził Luter – jeśli mniema, że bez kłopotu może znaleźć niewidzialną rzeczywistość Boga w świecie i w ludzkim doświadczeniu. W kazaniu wygłoszonym w 1517 roku Luter powiedział: „Człowiek ukrywa swoje sprawy po to, by spociec je w mroku; Bóg ukrywa swoje sprawy po to, by je objawić”. Dla

niemieckiego reformatora nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że dla zwykłego ludzkiego rozumu Krzyż pozostanie zawsze ciemnością. Jedynie wiara ujrzy ukryte w nim światło i dotrze do jego tajemnicy.

*Teologia łądzi się jeśli
mniema, że bez kłopotu może
znaleźć niewidzialną
rzeczywistość Boga w świecie i
w ludzkim doświadczeniu*

Tajemnicą owiana
jest również
Ewangelia, która
stanowi szczególną
przestrzeń Bożego
działania — pisał
Karl Barth,
największy

protestancki teolog naszych czasów. W niej niepoznawalny Bóg daje się poznać, lecz nigdy do końca i nigdy całkowicie. Słowa zapisane na kartach Biblii nie są dokumentalną i obiektywną relacją. Nie są objawieniem, lecz tylko drogą, która prowadzi do niego. Nie są też zbiorem wyrazistych przepisów regulujących ludzkie życie. Przeciwnie. Zawarty w nich rewolucyjny potencjał nie pozwala spać spokojnie. Głęboki, nieraz nieskończony, sens tych słów burzy w nas religijne przyzwyczajenia, nieporadnie skonstruowane obrazy Boga, duchowe wygodnictwo.

Wiara — pisał Luter — łączy duszę z niewidzialnym, niewysłowionym, niewypowiadalnym, wiecznym i nie dającym się pomyśleć Słowem Bożym, oddzielając ją jednocześnie od wszystkich rzeczy widzialnych. Protestancki nacisk na Łaskę i Tajemnicę stwarzał wiarę intymną, nieraz głęboko ukrytą w glinianych naczyniach. Kierowała się ona ku „Bogu ponad Bogiem”, jak w ślad za Pseudo-Dionizym nazywał ostateczną rzeczywistość duchową Paul Tillich, wybitny luterański teolog XX stulecia. Podobną drogą szła już dawniej katolicka czy

prawosławna *via negativa*, zwana również teologią apofatyczną. Przeniknięta poczuciem Tajemnicy szukała Boga w ciemności, wzywając swoich wyznawców do porzucenia wszelkich Jego wizerunków stworzonych na ziemi.

Hołdując przekonaniu, że zbawia nas Bóg, a nie człowiek, protestanci mieli po tysiąckroć rację, lecz rzadziej dochodzili do wiary w prymat Łaski czy Pisma przez duchowe rozeznanie, częściej natomiast przez czysty rozum czy zdrowy rozsądek. Lecz sam rozum, choćby najdoskonalszy, nie był w stanie zaspokoić ludzkiego głodu Boga; czasami stawał kością w gardle i przemieniał się w swoje przeciwieństwo, czyli niepohamowaną uczuciowość. Ewangelicka pobożność nieraz miotała się między suchą jak pieprz myślą i silnymi emocjami. Kornie chyląc czoło przed władztwem rozumu, nierzadko traciła dostęp do duchowej rzeczywistości. Na protestanckich glinianych naczyniach pojawiały się głębokie rysy.

Wraz z władztwem rozumu wkroczyła do protestanckiego świata humanistyczna kultura. Protestantyzm bowiem stawał się pod wieloma względami tożsamy z humanizmem, który troszczył się o godziwe życie człowieka tu i teraz. Oddawał cześć nie tylko Pismu Świętemu i Łasce, lecz także wolności sumienia czy nauce, wtapiając się w ten sposób w mieszczańską formację kulturową. Religia i zbudowane na jej podstawach instytucje — pisał cytowany już Karl Barth — stopniowo stały się murem odgradzającym człowieka od Boga. Kościoły protestanckie udzielały błogosławieństwa kulturze postępu i dobrobytu, widząc w niej realizację zbawczego planu Niebios.

Wiara zaś stawała się letnia. A przecież wiara — głosił w XX wieku Tillich — to „ekstazyjne przekraczanie rzeczywistości na mocy tego, czego niepodobna wyprowadzić z całej rzeczywistości”. Jej żywa obecność wchodzi w nasz codzienny byt, lecz w nim nie więźnie. Tymczasem dla wielu protestantów — pisał z kolei Barth — Ewangelia stała się tylko środkiem dającym pociechę, a Królestwo Boże nowym wspaniałym światem, który człowiek sam dla siebie zbuduje. Dlaczego? Zapewne dlatego, że wiara skierowana ku Tajemnicy Boga i ciemnościom Krzyża wymaga niezmiernego wysiłku, człowiek zaś chętnie ułatwia sobie życie i często wybiera drogę na skróty. A wówczas żywa wiara marnieje i gaśnie, przeistaczając się w wygodne wierzenia.

Protestantyzm występując w imię suwerennego Boga, odrzucał ziemską rzeczywistość, gdy tylko ta mieniła się świętością

Powstaje więc pytanie, czy zwrot ku Tajemnicy i Suwerenności Boga przyniósł realne rezultaty? Czy sprzeczności, które zresztą istnieją w

każdej religii i w każdej wierze, nie rozsadziły protestanckich glinianych naczyń? Z jednej strony bowiem, zwłaszcza w czasach nam bliższych, protestantyzm splótł się z realiami świata, z drugiej zaś, bliżej swego początku, występując w imię suwerennego Boga, odrzucał ziemską rzeczywistość, gdy tylko ta mieniła się świętością. Ale za to odrzucenie przyszło zapłacić niemal całkowitym wygnaniem świętości z ziemskiego istnienia i oddaniem jej we władanie świeckich sił. Paul Tillich uważał, że chrześcijaństwu nie wystarczy intymna protestancka wiara, która nie godzi się na wynoszenie do świętości fragmentów

skończonego świata. Wiedział, że chrześcijaństwo potrzebuje „katolickiej substancji”, czyli konkretnego wcielenia duchowej obecności.

Czymże więc jest protestantyzm? Herezją czy sektą? Zubożałym i wykoślawionym katolicyzmem czy równocennym szlakiem wierności Chrystusowi? Wiarą bez uczynków czy odkryciem żywiołowej potęgi Łaski? Buntem niedowiarków czy aktem rzetelnej wolności chrześcijańskiej? Ślepą uliczką wiary czy stałą możliwością reformy chrześcijaństwa? To zaledwie niektóre spośród pytań, jakie od czasów Lutra zadawali zarówno przeciwnicy jak i zwolennicy reformacji.

Szukając na nie odpowiedzi, wczytywałem się nieraz w rozważania historyków i teologów, starając się omijać polemiczne uproszczenia i triumfalistyczne stereotypy typu „wiara niedowiarków” czy „łacińska herezja”. Te lektury i oparte na nich refleksje niemal zawsze prowadziły mnie do przekonania, że protestantyzm, mimo swoich sprzeczności i słabości, jest przede wszystkim chrześcijaństwem, odłamem obudzonej Zmartwychwstaniem wiary, strumieniem tryskającym z jej najgłębszego źródła, który na skutek poważnych nieporozumień i perturbacji odłączył się od jej pozostałych nurtów. Ten rozłam przyniósł europejskiej duchowości ogromne szkody. I to nie tylko dlatego, że stworzył dwa wrogie sobie obozy i wprowadził podział do religii, której istotą jest łączenie tego, co podzielone.

Również dlatego, że protestantyzm tak dalece splótł się z epoką nowożytną, że wraz z nią zaprzestał szukać skarbu w glinianych naczyńkach i począł tracić z pola widzenia duchową rzeczywistość. Czy zatem grozi mu uwiąd? Nie, niekoniecznie. Są bowiem jeszcze liczni

protestanci głęboko wrażliwi na promieniowanie Boga ponad Bogiem, który jest światłem wiary zwanej przez Tillicha absolutną. Ta wiara „nie jest miejscem, gdzie człowiek mógłby żyć, nie zabezpieczają jej słowa i pojęcia, nie ma ona imienia, kościoła, kultu, teologii. Pulsuje jednak w głębi tego wszystkiego” i obdarzona jest twórczą mocą. Otwarta na Tajemnicę ożywia swoim tchnieniem protestantów, których w „dolinie gasnących gwiazd” nieraz ogarnia zniechęcenie.

Tymczasem w naszej epoce, cierpiącej na chorobę sensu, najłatwiej nam przeżywać rzeczywistość Krzyża. W sytuacjach bez wyjścia, w rozpacz, dostrzegamy czasami Ukrzyżowanego i przyjmujemy do wiadomości, że cierpi razem z nami. Lecz czy to wystarcza? W ciemnościach cierpiący z nami Bóg przynosi pociechę, ale nie zdrowie. Ciemność Krzyża może rozproszyć jedynie światło Zmartwychwstania.

Lecz to światło będzie w stanie rozwiać nasze ciemności tylko wówczas — pisał Paul Tillich — gdy pojmiemy umysłem, sercem, niemal całym ciałem, że Zmartwychwstanie dzieje się tu i teraz albo nie dzieje się wcale. Jest przecież promieniowaniem Nowego Stworzenia; jest tajemniczą siłą, która pragnie na nowo powołać do życia wszystko, co w nas i naszym świecie niszczy i umiera, a każdą przemijającą chwilę otworzyć na wieczność. Tyle że ta siła nie poruszy nikogo wbrew woli; jej przenikanie do sfery ludzkiego myślenia, uczucia i działania wymaga współdziałania człowieka — współdziałania opartego na swobodnej decyzji oraz na zdolności rozróżniania między duchem świata a Duchem, który jest z Boga — by odwołać się do Pawłowego kryterium prawdy.

Ufam, że gdybyśmy byli w stanie dostrzegać blask Zmartwychwstania w otaczającym nas świecie, gdybyśmy potrafili zobaczyć świetliste duchowe jądro każdego istnienia, przepaść między różnymi nurtami chrześcijańskiej wiary mogłaby zostać zasypana. Ale jak to uczynić, jak wyjść z ciemności? Odpowiedź znajdziemy w samym sercu chrześcijaństwa.

Aby dojrzeć światłość Zmartwychwstania w każdym ziarnku piasku i w całym stworzeniu, aby zdać sobie sprawę, że należy ono nie tylko do porządku wiary, lecz także do porządku istnienia, trzeba dokonać w sobie głębokiej przemiany i własne „ja” zastąpić czystym sercem. Czyli *amor sui* przeistoczyć w *amor Dei*. Ba, ale ta przemiana kosztuje nie mniej niż wszystko. Ponieważ burzy wrodzoną nam pychę i rozbija ukrytą przed naszym własnym wzrokiem zatwardziałość serca, powoduje ból i cierpienie. Lecz czy nie jest ta przemiana najwyższym powołaniem wszystkich chrześcijan, nawet najbardziej niezłomnych, nie tylko protestantów dotkniętych dramatem glinianych naczyń?

Krzysztof Dorosz



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 - 2030



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Dofinansowano
ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego